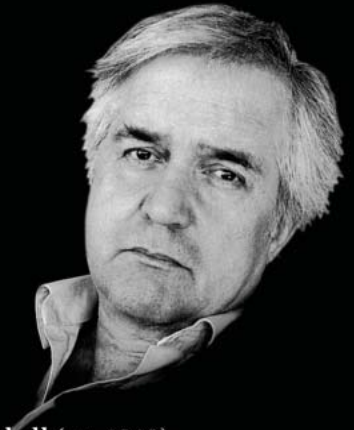


M R O C Z N A  
S E R I A

HENNING

MANKELL

falszywy  
trop



**Henning Mankell** (ur. 1948) to jeden z najczęściej nagradzanych pisarzy szwedzkich, a zarazem wybitny dziennikarz, dramaturg i reżyser teatralny. Zasłynął serią publikowanych od 1991 roku powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Wallander. Stały się one bestsellerami nie tylko w Szwecji, gdzie osiągnęły łączny nakład trzech milionów egzemplarzy; doczekały się tłumaczeń na dwadzieścia pięć języków i wielu ekranizacji. Mankell jest też autorem powieści o tematyce społecznej oraz książek dla dzieci i młodzieży. Mieszka na przemian w Szwecji i Mozambiku. W maju 2004 roku otrzymał prestiżową Nagrodę Tolerancji, przyznaną przez niemiecką Evangelische Akademie Tutzing za pracę na rzecz dialogu między Europą i Afryką. Powieść *Falszywy trop* ukazała się po raz pierwszy nakładem Wydawnictwa W.A.B w 2002 roku, a w 2004 zostały wydane *Piąta kobieta* i *Morderca bez twarzy*. Wkrótce do czytelników trafi kolejna książka Mankella, *Biała lwica*.

Wydawnictwo  
W.A.B

Wydawnictwo  
W.A.B

HENNING

**MANSELL**

---

**fałszywy  
trop**



w serii ukazały się:

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

MRO CZNA  
SERIA



HENNING

**MANSELL**

---

**fałszywy  
trop**

przełożyła HALINA THYLWE

wydawnictwo  
**ab**

Wydano z pomocą finansową  
Svenska Institutet

Tytuł oryginału: *Villospår*

Copyright © 1995 by Henning Mankell

Published by agreement with Ordfronts Förlag AB, Stockholm  
and Leonhardt & Høier Literary Agency aps, København

Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo W.A.B., 2002

Copyright © for the Polish translation by Halina Thylwe, 2002

Wydanie II  
Warszawa 2007

*Na próżno giąć mi, potrząsać na próżno,  
boć stara jest i nieczuła ta krata,  
nie rozerwie się, myślę o tym trwożno,  
jako że we mnie mocno tkwi ta krata,  
dopokąd nie szczeżnę, nie szczeżnie i krata.*

Gustaf Fröding, *Gazela*

*Jonowi*

# Dominikana

1978

## Prolog

Tuż przed świtem Pedra Santanę obudził śwąd kopczącej się lampy naftowej. Otworzył oczy i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Został wyrwany ze snu, który chciałby jeszcze śnić. Wędrował przez przedziwny skalisty pejzaż, powietrze było tam rozrzedzone i wydawało mu się, że opuszczają go wszystkie wspomnienia. Kopcząca lampa naftowa przeniknęła do świadomości, przywołując słaby zapach wulkanicznego popiołu. Ale nagle pojawiło się coś jeszcze: głos udręczonego, dyszącego człowieka. Wtedy sen prysł i Pedro wrócił do ciemnego pokoju, w którym spędził sześć dni i sześć nocy, śpiąc zaledwie po kilka minut.

Lampa naftowa zgasła. Wokół panowały ciemności. Siedział bez ruchu. Noc była bardzo ciepła. Koszula kleiła się od potu. Zdał sobie sprawę, że cuchnie. Dawno się nie mył. Nie miał na to siły.

Znów usłyszał głos dyszącego człowieka. Podniósł się ostrożnie i szukał w ciemnościach plastikowego kanistra z naftą. Powinien stać przy drzwiach. Musiało padać, kiedy spałem, pomyślał. Czuł pod stopami wilgotną ziemię. Z oddali dobiegło go pianie koguta. Wiedział, że to kogut Ramireza.

Zawsze piał we wsi pierwszy, przed świtem. Był jak niecierpliwy człowiek. Jak jeden z tych miastowych, którym się zdaje, że tyle ich czeka pracy, a nie starcza im czasu na nic więcej prócz troski o własny pośpiech. Nie to, co tutaj, na wsi, gdzie wszystko wyznacza rytm życia. Po co mieliby dokąś pędzić, skoro rośliny, które zapewniają im byt, rosną wolno?

Uderzył dłonią o kanister. Wyjął szmacianą zatyczkę i odwrócił się. Dyszenie, które słyszał w ciemnościach, stawało się coraz bardziej nieregularne. Znalazł lampę, wyciągnął korek i ostrożnie wlał naftę. Próbował sobie przypomnieć, gdzie położył zapalki. Pamiętał, że pudełko było prawie puste, powinny w nim być dwie albo trzy. Odstawił kanister i obmacywał rękami ziemię. Wyczuł je niemal od razu. Zapalił zapalkę, podniósł szklany klosz i patrzył, jak knot zaczyna się palić.

Odwrócił się z udręką. Nie chciał tam patrzeć. Kobieta leżąca pod ścianą umierała. Już to wiedział, mimo że próbował sobie wmawiać, że kryzys niedługo minie. Dotąd sen był jego jedyną ucieczką. Teraz nie miał już szans. Człowiek nigdy nie ucieknie od śmierci. Ani od swojej, ani od śmierci bliskiej osoby.

Kucnął obok jej łóżka. Lampa rzucała niespokojne cienie na ściany. Spojrzał na jej bladą twarz. Była młoda i mimo zapadniętych policzków nadal piękna. Tylko uroda nie opuszcza mojej żony, pomyślał. W oczach zakręciły mu się łzy. Dotknął jej czoła. Gorączka znów podskoczyła.

Obrzucił spojrzeniem załataną kawałkiem tektury okno. Jeszcze nie świta. Kogut Ramireza nie miał na razie konkurencji. Oby do świtu, pomyślał. Ona umrze w nocy. Nie w dzień. Żeby tylko starczyło jej sił do świtu. Wtedy jeszcze mnie nie zostawi.

Nagle otworzyła oczy. Chwycił jej dłoń i próbował się uśmiechać.

- Gdzie dziecko? – spytała tak słabym głosem, że ledwie mógł ją zrozumieć.

- U mojej siostry – odpowiedział. – Tak jest najlepiej.

Jego odpowiedź chyba ją uspokoiła.

- Długo spałam?

- Wiele godzin.

- Siedziałeś tutaj cały czas? Musisz odpocząć. Za kilka dni już mnie tu nie będzie.

- Spałem – odparł. – Wkrótce wyzdrowiejesz.

Zastanawiał się, czy wyczuła jego kłamstwo. Zastanawiał się, czy ona wie, że już nigdy nie wstanie z łóżka. Czyżby się nawzajem, w rozpacz, okłamywali? Żeby to, co nieuniknione, było mniej bolesne?

- Jestem bardzo zmęczona – powiedziała.

- Musisz spać, żeby wyzdrowieć – odpowiedział, odwracając głowę, żeby nie zobaczyła, jak słabo nad sobą panuje.

Chwilę później do chaty zajrzał świt. Zanurzyła się w nieświadomości. Siedział na ziemi przy jej łóżku. Zmęczenie odebrało mu kontrolę nad myślami. Wędrowały swobodnie, nie miał siły ich okiełznać.

Spotkał Dolores, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Przeszli z bratem Juanem kawał drogi do Santiago de los Treinta Caballeros, żeby popatrzeć na karnawał. Dwa lata starszy Juan był już w mieście, Pedro znalazł się tutaj po raz pierwszy. Wędrowali trzy dni. Czasami udało im się podjechać parę kilometrów na wozie zaprzężonym w woły. Przeważnie jednak szli. Raz chcieli się zabrać na gapę autobusem. Ale zostali przyłapani, kiedy wdrapywali się na dach, żeby dać nura między torby i tobołki. Kierowca ich przegonił i poczęstował obelgami. Wykrzykiwał,

że nie powinno być takich biedaków, których nie stać nawet na bilet autobusowy.

- Taki kierowca autobusu musi być bardzo bogaty - powiedział Pedro, kiedy szli zapyłoną drogą, wijącą się wśród niezliczonych plantacji trzciny cukrowej.

- Głupi jesteś - odparł Juan. - Pieniądze z biletów idą do właściciela autobusu. Nie do tego, kto nim kieruje.

- A kto to jest? - spytał Pedro.

- Skąd mam wiedzieć? - obruszył się Juan. - Kiedy będziemy w mieście, pokażę ci domy, w których tacy mieszkają.

W końcu dotarli do celu. Był lutowy dzień i całe miasto ogarnęła gorączka karnawału. Pedro, oniemiały, patrzył na kolorowe stroje z naszytymi, połyskującymi lusterkami. Przeraziły go maski diabłów i zwierząt. Całe miasto wydawało się kołysać w rytm tysięcy bębnów i gitar. Juan pewnie i swobodnie prowadził go ulicami i zaułkami. Noce spędzali na ławce w Parque Duarte. Pedro niepokoił się, że Juan zniknie mu z oczu w tym nieprzebranym tłumie. Czuł się jak dziecko, które boi się zgubić rodzica. Ale nie dawał tego po sobie poznać. Nie chciał, żeby Juan się z niego śmiał.

A jednak stało się. Ostatniego dnia, wieczorem. Byli na Calle del Sol, największej ulicy w mieście, kiedy Juan nagle przepadł w tłumie roztańczonych ludzi. Nie ustalili żadnego miejsca spotkania na wypadek, gdyby się rozdzielili. Szukał brata do późna, zapadła już noc, i nie znalazł. Nie było go na parkowej ławce, gdzie wcześniej spali.

Następnego dnia, o świcie, Pedro usiadł pod jednym z pomników na Plaza de Cultura. Ugasił pragnienie wodą z fontanny. Nie miał pieniędzy na jedzenie. Pomyślał, że pozostaje mu jedynie odszukać drogę powrotną do domu. Jak tylko wyjdzie z miasta, zakradnie się na jedną z wielu plantacji bananów i naje do syta.

Nagle zauważył, że ktoś koło niego siedzi. Dziewczyna w jego wieku. Pomyślał, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Kiedy na niego spojrzała, speszony opuścił wzrok. Ukradkiem zobaczył, jak zdejmuje sandały i rozciera obolałe stopy.

Tak właśnie poznał Dolores. Często później wspominali, że połączyło ich zniknięcia Juana w karnawałowym tłumie i jej obolałe stopy.

Siedzieli przy fontannie i rozmawiali. Okazało się, że Dolores jest w mieście od niedawna. Szukała posady służącej, chodząc od drzwi do drzwi zamożnych domów. Ale bez powodzenia. Tak jak Pedro, była dzieckiem *campesino* i pochodziła z wioski położonej niedaleko wioski Pedra. Razem wyszli z miasta, ogołocili bananowiec, żeby zaspokoić głód, i im bliżej byli celu, tym wolniej szli.

Dwa lata później, w maju, przed porą deszczową, pobrali się i zamieszkali w jego wiosce, w małym domku, który dostali od jednego z wujów Pedra. Pedro pracował na plantacji trzciny cukrowej, a Dolores uprawiała warzywa i sprzedawała je przejeżdżającym kupcom. Żyli biednie, ale byli młodzi i szczęśliwi.

Było tylko jedno ale. Po trzech latach Dolores nadal nie mogła zająć w ciążę. Nigdy o tym nie rozmawiali. Ale Pedro widział, że żona coraz bardziej się tym martwi. W tajemnicy przed nim pojechała pod granicę z Haiti szukać pomocy u *curiositas*, nic się jednak nie zmieniło.

Minęło osiem lat. Pewnego wieczoru, kiedy Pedro wrócił z plantacji, wyszła mu na spotkanie i powiedziała, że jest w ciąży. Pod koniec ósmego roku ich małżeństwa urodziła córkę. Ledwie Pedro zobaczył dziecko, od razu wiedział, że odziedziczyło urodę po matce. Tego samego wieczoru poszedł do kościoła i ofiarował złotą biżuterię, podarunek od matki, kiedy jeszcze żyła. Ofiarował ją Marii Dziewicy. Pomyślał, że ze swo-

im dzieckiem w powijkach przypomina Dolores i ich nowo narodzoną córkę. Wracając do domu, śpiewał tak głośno i donośnie, że mijający go ludzie zastanawiali się, czy przypadkiem nie wypił za dużo sfermentowanego soku z trzciny cukrowej.

Dolores spała. Oddychała coraz gwałtowniej i poruszała się niespokojnie.

- Nie możesz umrzeć - szepnął Pedro i zdał sobie sprawę, że nie potrafi już zapanować nad rozpaczą. - Nie możesz zostawić mnie i córki.

Dwie godziny później było po wszystkim. Przez chwilę oddychała spokojnie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Musisz ochrzcić naszą córkę - powiedziała. - Musisz ją ochrzcić i musisz się nią zająć.

- Niedługo wyzdrowiejesz - odparł. - Razem pójdziemy do kościoła i ją ochrzcimy.

- Mnie już nie ma - odpowiedziała i zamknęła oczy.

Potem odeszła.

Dwa tygodnie później Pedro wyszedł z wioski, niosąc córkę w koszu na plecach. Brat Juan kawalek go odprowadził.

- Wiesz, co robisz? - zapytał.

- Robię tylko to, co konieczne - odparł Pedro.

- Dlaczego musisz ochrzcić córkę w mieście? Dlaczego nie tutaj, w wiosce? Ten kościół był dobry i dla ciebie, i dla mnie. I dla naszych rodziców.

Pedro zatrzymał się i popatrzył na brata.

- Przez osiem lat czekaliśmy na dziecko. Kiedy w końcu nasza córka przysła na świat, Dolores zachorowała. Nikt nie mógł jej pomóc. Ani lekarze, ani leki. Nie skończyła trzy-

dziesięciu lat i musiała umrzeć. Bo jesteśmy biedni. Bo chorujemy z nędzy. Poznałem Dolores w czasie karnawału, kiedy zniknąłeś w tłumie. Chcę pójść do dużej katedry przy placu, gdzie się spotkaliśmy. Moja córka będzie ochrzczona w największym kościele w naszym kraju. Tylko tyle mogę zrobić dla Dolores.

Nie czekając na odpowiedź Juana, odwrócił się i poszedł. Kiedy późnym wieczorem dotarł do rodzinnej wioski Dolores, zatrzymał się przed domem jej matki. Powiedział, dokąd idzie. Stara kobieta ze smutkiem pokręciła głową.

- Smutek wpędza cię w szaleństwo - powiedziała. - Pomyślałbyś raczej o córce, której na pewno nie zrobi dobrze podskakiwanie na twoich plecach taki szmat drogi aż do Santiago.

Pedro milczał. Następnego dnia wcześniej rano podjął wędrówkę. Cały czas mówił do dziecka, które siedziało w koszu na jego plecach. Opowiedział wszystko, co pamiętał, o Dolores. Kiedy nie miał już nic do dodania, zaczął od początku.

Był w mieście po południu, kiedy na horyzoncie gromadziły się ciężkie deszczowe chmury. Usiadł pod wrotami katedry Santiago Apóstol i czekał. Od czasu do czasu karmił córkę tym, co zabrał z domu. Przyglądał się wszystkim przechodzącym księżom. Albo wydawali mu się zbyt młodzi, albo zbyt się spieszyli, by mógł im powierzyć chrzest córki. Czekał wiele godzin. W końcu zobaczył starego księdza, który wolno przemierzał plac, kierując się do katedry. Wtedy wstał, zdjął z głowy kapelusz z tyka i wyjął córkę z kosza. Stary ksiądz cierpliwie go wysłuchał, po czym skinął głową.

- Ochrzczę twoją córkę - powiedział. - Z daleka przyszedłeś wiedziony wiarą. W naszych czasach to bardzo rzadkie. Ludzie rzadko odbywają tak dalekie wędrówki, powodowani wiarą. Dlatego świat wygląda tak, jak wygląda.

Pedro udał się za księdzem do mrocznej katedry. Czuł obecność Dolores. Jej dusza unosiła się nad nimi, była z nimi, gdy szli do chrzcielnicy.

Stary ksiądz oparł łaskę o kolumnę.

- Jak dziewczynka będzie miała na imię? - spytał.

- Jak jej matka. Dolores. A na drugie Maria. Dolores Maria Santana.

Po chrzcie Pedro wyszedł na plac i usiadł pod pomnikiem, tam, gdzie dziesięć lat wcześniej spotkał Dolores. Córka spała w koszu. Siedział bez ruchu, zatopiony w myślach.

Ja, Pedro Santana, jestem prostym człowiekiem. Po rodzicach nie odziedziczyłem nic prócz nędzy i ubóstwa. Nie udało mi się zatrzymać żony. Ale obiecuję ci, że nasza córka będzie żyć inaczej. Zrobię wszystko, żeby nie musiała żyć tak jak my. Obiecuję ci, Dolores, że twoja córka będzie miała długie, szczęśliwe i godne życie.

Tego samego wieczoru Pedro opuścił miasto. Z córką, Dolores Marią, wrócił do swojej wioski.

Było to 9 maja 1978 roku.

Ubóstwiana przez ojca Dolores Maria Santana miała wtedy osiem miesięcy.

# Skania

21-24 czerwca 1994

## 1

O świcie rozpoczął przemianę. Wszystko dokładnie zaplanował, żeby nie było żadnej wpadki. Poświęcił na to cały dzień, nie chciał ryzykować, że nagle zabraknie mu czasu. Wziął pędzelek i trzymał go w dłoni, przed sobą. Ze stojącego na posadzce magnetofonu dobiegały go głosy bębnów. Spojrzał na swoją twarz w lustrze. I zrobił na czole pierwsze czarne kreski. Zauważył, że dłoń ma pewną. Nie jest więc zdenerwowany. Mimo że po raz pierwszy nakładał makijaż wojownika nie dla zabawy. Dotychczas była to tylko forma ucieczki, sposób obrony przed niesprawiedliwościami, na jakie był nieustannie narażony. Teraz wielka przemiana nabrała innego charakteru. Powagi. Każda namalowana kreska zdawała się go oddalać od poprzedniego życia. Nie było odwrotu. Zabawa raz na zawsze się skończyła, wyruszy na wojnę, w której ludzie umrą naprawdę.

Światło było bardzo ostre. Żeby uniknąć niepotrzebnych odbić, precyzyjnie poustawiał lustra. Kiedy tutaj wszedł i zamknął za sobą drzwi, po raz ostatni sprawdził, czy o niczym nie zapomniął. Wszystko było na swoim miejscu. Starannie wyczyszczone pędzle, porcelanowe miseczki z farbami, ręczniki i woda. Obok małej tokarki, na kawałku czarnego ma-

teriału leżała broń: trzy siekiery, noże różnej długości i spray. W jednej tylko sprawie nic jeszcze nie postanowił. Będzie musiał wybrać broń. Nie mógł zabrać wszystkiego. Wiedział jednak, że decyzja zapadnie sama, kiedy przystąpi do przemiany.

Zanim usiadł przed ławą, żeby pomalować twarz, opuszkami palców sprawdził ostrza siekier i noży. Nie mogły być ostrzejsze. Nie oparł się pokusie i mocniej nacisnął palcem jeden z noży. Natychmiast pokazała się krew. Wylał palec i nóż ręcznikiem. I usiadł przed lustrami.

Pierwsze kreski na czole powinny być czarne. Jakby nacinał dwie głębokie rany, otwierał mózg, opróżniając go ze wszystkich wspomnień i myśli, które mu towarzyszyły, dręczyły i upokarzały. Potem będą czerwone i białe kreski, koła, czworokąty, a na końcu, na policzkach, węzowe ornamenty. Jego biała skóra w ogóle nie będzie widoczna. Tak dokona się przemiana. To, co było, przestanie istnieć. Narodzi się zwierzę, które nigdy nie przemówi ludzkim głosem. Pomyślał, że gdyby to było konieczne, bez wahania obetnie sobie język.

Przemiana zajęła mu cały dzień. Skończył tuż po szóstej po południu. Wtedy zdecydował się zabrać największą siekiere. Wetknął trzonek za gruby skórzany pas. Były tam już dwa noże. Rozejrzał się. O niczym nie zapomniał. Spray włożył do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

Po raz ostatni spojrzął na swoją twarz w lustrze. Wzdrygnął się. A potem wolno włożył kask na głowę, zgasił światło i wyszedł. Boso, tak jak tutaj przyszedł.

\*

Pięć minut po dziewiątej Gustaf Wetterstedt ściszył telewizor i zadzwonił do matki. Zgodnie ze starym zwyczajem. Odkąd przeszło dwadzieścia pięć lat temu opuścił fotel ministra sprawiedliwości i zaniechał wszelkiej działalności politycznej,

z niechęcią i niesmakiem oglądał telewizyjne wiadomości. Nie mógł się pogodzić z tym, że już go tam nie ma. Przez wiele lat ministrowania był w centrum życia publicznego i przynajmniej raz w tygodniu pokazywał się w telewizji. Pilnował, by sekretarki rejestrowały każde jego wystąpienie na taśmie wideo. Taśmy zajmowały teraz całą ścianę w jego gabinecie. Czasami je oglądał. I zawsze z zadowoleniem konstatawał, że ani razu podczas tylu lat na stanowisku ministra sprawiedliwości żadne nieoczekiwane lub podchwytliwe pytanie złośliwego dziennikarza nie wyprowadziło go z równowagi. Z nietajoną pogardą myślał o kolegach, którzy bali się dziennikarzy telewizyjnych. Często coś dukali, sami sobie przeczyli i nie umieli z tego wybrnąć. Jemu nigdy coś podobnego się nie przydarzyło. Jego nikt nie usidlił. Dziennikarze nie byli w stanie go pokonać. Nigdy też nie udało im się wytropić jego tajemnicy.

Włączył telewizor o dziewiętej, na skrót wiadomości. Potem go ściszył, przysunął telefon i zadzwonił do matki. Urodziła go bardzo wcześnie. Teraz miała czterdzieści cztery lata, jasny umysł i niespożytą energię. Mieszkała sama w dużym mieszkaniu w centrum Sztokholmu. Ile razy podnosił słuchawkę i wykręcał numer, zawsze miał nadzieję, że nie odbierze. Miał powyżej siedemdziesiątki i zaczynał się niepokoić, że matka go przeżyje. Niczego bardziej nie pragnął niż jej śmierci. Zostałby sam. Nie musiałby do niej wydzwaniać, szybko by zapomniał, jak wyglądała.

Sygnaly rozbrzmiewały. Czekając, patrzył na pozbawionego głosu lektora wiadomości. Po czwartym sygnale zaczął mieć nadzieję, że nareszcie umarła. I wtedy ją usłyszał. Przybrał łagodny ton. Spytał, jak się czuje, jak minął dzień. Kiedy musiał uznać, że jednak żyje, chciał maksymalnie skrócić rozmowę.

Skończył i siedział z ręką na słuchawce. Ona nie umrze, pomyślał. Nie umrze, chyba że ją zabiję.

Siedział w ciszy. Szumiało morze, w pobliżu przejechał samotny motorower. Wstał z kanapy i podszedł do dużego okna tarasu z widokiem na morze. Był piękny, nastrojowy zmierzch. Na brzegu opodal jego dużej posesji było pusto. Ludzie siedzą przed telewizorami, pomyślał. Kiedyś mogli zobaczyć, jak chwytam reporterów za gardło. Byłem wtedy ministrem sprawiedliwości. Powinienem zostać premierem. Ale nie zostałem.

Starannie zaciągnął ciężkie zasłony, żeby nie było żadnych prześwitów. Choć w swoim domu na wschodnich przedmieściach Ystadu starał się żyć anonimowo, zdarzało się, że obserwowali go ciekawscy. Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd odszedł ze stanowiska, a mimo to nie został jeszcze całkiem zapomniany. Poszedł do kuchni i nalał sobie kawy z termosu. Kupił go pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas oficjalnej wizyty we Włoszech. Był tam bodaj w sprawie przedyskutowania wzrostu nakładów na powstrzymanie rosnącej fali terroryzmu w Europie. W jego domu wszędzie były pamiątki przywołujące na myśl dawne czasy. Powinien je wyrzucić. Uznał to jednak za bezsensowny wysiłek.

Usiadł na kanapie z filiżanką kawy. Pilotem wyłączył telewizor i myślał o mijającym dniu. Przed południem odwiedziła go dziennikarka z pewnego dużego miesięcznika, który publikował cykl reportaży o niegdyś znanych ludziach, obecnie na emeryturze. Nie udało mu się dociec, dlaczego wybrała akurat jego. Przyszła z fotografem, robili mu zdjęcia nad morzem i w domu. Zawczasu postanowił, że się zaprezentuje jako pogodny staruszek, pogodzony ze swoim życiem. Mówił, że jest bardzo szczęśliwy. Że żyje w odosobnieniu, żeby w spokoju oddać się medytacjom, i z dobrze udawanym zażenowaniem napomknął o ewentualnym spisaniu swoich wspomnień. Dziennikarka, kobieta około czterdziestki, była pod wrażeniem

i traktowała go z pokornym respektem. Potem odprowadził gości do samochodu i pomachał im na pożegnanie.

Z satysfakcją pomyślał, że nie powiedział ani jednego słowa prawdy. Była to jedna z niewielu rzeczy, które go nadal bawiły. Oszukać i nie dać się przyłapać. Rozsiewać pozory i złudzenia. Po wielu latach obecności w życiu politycznym zdał sobie sprawę, że w konsekwencji zostaje jedynie kłamstwo. Prawda przebrana za kłamstwo albo kłamstwo przebrane za prawdę.

Niespiesznie dopił kawę. Czuł narastające zadowolenie. Najlepsze były wieczory i noce. Wtedy oddalały się od niego myśli o wszystkim, co było kiedyś i co minęło bezpowrotnie. Nikt jednak nie mógł go pozbawić najważniejszego. Tajemnicy, którą znał tylko on sam.

Czasami myślał o sobie jak o obrazie w lustrze, który jest jednocześnie wklęsły i wypukły. Była w nim ta sama dwuznaczność. Inni widzieli jedynie powierzchnię, ot, zdolny jurysta, szanowany minister sprawiedliwości, pogodny emeryt, który przechadza się po skańskim nabrzeżu. Nikt nie podejrzewał, że jest swoim własnym sobowtórem. Składał wizyty królom i prezydentom, kłaniał się z uśmiechem i myślał: żebyście tylko wiedzieli, kim naprawdę jestem i co o was myślę. Kiedy stał przed kamerami telewizyjnymi, ta sentencja – żebyście tylko wiedzieli, kim jestem – nigdy nie opuszczała jego świadomości. Ale nikt tego nie odczytał, nie zgłębił jego tajemnicy, tej oto, że gardzi partią, którą reprezentuje, poglądami, których broni, większością ludzi, których spotyka. I z tą tajemnicą umrze. Przejrzał świat na wylot, wszystkie jego marności, widział bezsens egzystencji. Nikt jednak nie znał jego prawdziwych poglądów i nie pozna. Nie odczuwał potrzeby dzielenia się swoimi spostrzeżeniami i zapatrywaniami.

Coraz bardziej cieszył się na jutrzejszy dzień. Tuż po dziewiątej wieczorem mieli się u niego zjawić przyjaciele. Czarnym

mercedesem z przydymionymi lustrzanymi szybami. Wjadą do garażu, on będzie na nich czekał w salonie, za starannie zaciągniętymi zasłonami, jak teraz. Jego oczekiwania natychmiast wzrosły, kiedy zaczął sobie wyobrażać, jaką dziewczynę mu tym razem przywiozą. Przekazał wiadomość, że ostatnio było za dużo blondynek. Niektóre były za stare, miały ponad dwadzieścia lat. Życzyłby sobie młodszą, najchętniej rasy mieszanej. Kiedy weźmie dziewczynę do sypialni, przyjaciele posiedzą w piwnicy, gdzie wstawił telewizor. Przed świtem już ich nie będzie, a on zacznie snuć fantazje o dziewczynie, którą przywiozą za tydzień. Na myśl o jutrzejszym dniu podniecił się, wstał z kanapy i wszedł do gabinetu. Zanim zapalił światło, zaciągnął zasłony. Przez moment miał wrażenie, że na brzegu ktoś stoi. Zdjął okulary i zmrużył oczy. Zdarzało się, że nocne marki wysiadywały akurat pod jego posesją. Kilka razy musiał wzywać policję, skarżąc się na młodych ludzi, którzy rozpalali ognisko na brzegu i hałasowali. Policjanci zjawiali się natychmiast i zabierali intruzów. Często myślał o tym, że nigdy nie przysłoby mu do głowy, jakie będzie miał wiadomości i kontakty jako minister sprawiedliwości. Nie tylko poznał specyficzną mentalność szwedzkiej policji, pozyskał także przyjaciół w strategicznych punktach szwedzkiej maszyny prawniczej. Nie mniej ważne były kontakty, jakie nawiązał ze środowiskiem przestępczym. Zaprzyjaźnił się z działającymi w pojedynkę inteligentnymi bandziorami i z szefami dużych grup przestępczych. Mimo że sporo się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, jego stare kontakty nadal przysparzały mu dużo radości. Zwłaszcza ci jego przyjaciele, którzy dbali o to, by co tydzień odwiedzała go panienka w stosownym wieku.

Postać na brzegu była przywidzeniem. Poprawił zasłony i wysunął szufladę biurka, które odziedziczył po ojcu, suro-

wym profesorze prawa. Wyjął kosztowny, pięknie zdobiony album i powoli, niemal nabożnie wertował swój zbiór zdjęć pornograficznych, pamiętających początki sztuki fotografovania. Najstarsze zdjęcie było prawdziwym rarytasem: dagerotyp z 1855 roku, który kupił kiedyś w Paryżu. Przedstawiało nagą kobietę obejmującą psa. Jego kolekcję dobrze znało jedynie doborowe grono mężczyzn o identycznych zainteresowaniach. Zdjęcia Lecadre'a z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, których był posiadaczem, ustępowały jedynie kolekcji pewnego leciwego potentata przemysłu hutniczego z okręgu Ruhry. Najdłużej zatrzymywał się przy zdjęciach bardzo młodych modelek, będących – sądząc po oczach – pod wpływem narkotyków. Często żałował, że sam nie poświęcił się fotografii. Byłby teraz w posiadaniu unikatowych zbiorów.

Przejrzał album i włożył go do szuflady. Od przyjaciół wzmógł obietnicę, że po jego śmierci zaoferują zdjęcia pewnemu paryskiemu antykwariuszowi specjalizującemu się w tego typu transakcjach. Pieniądze ze sprzedaży miały trafić na konto fundacji dla młodych prawników, którą już założył, a której istnienie ujawniono by dopiero po jego śmierci.

Zgasił lampę na biurku i siedział w mroku. Cicho szumiało morze. Znow mu się wydawało, że słyszy przejeżdżający w pobliżu motorower.

Ciągle nie mógł sobie wyobrazić własnej śmierci, mimo że miał przeszło siedemdziesiąt lat. W USA dwukrotnie uczestniczył incognito w egzekucjach; widział śmierć na krześle elektrycznym i, co rzadkie, w komorze gazowej. Sprawilo mu to osobliwą przyjemność. Ale własnej śmierci sobie nie wyobrażał.

Wszedł do salonu i nalał sobie z barku kieliszek likieru. Zbliżała się północ. Przed snem pozostał mu jedynie krótki

spacer nad morzem. Włożył kurtkę, wsunął stopy w parę zużytych drewniaków i opuścił dom.

Było bezwietrznie. Jego posiadłość leżała na uboczu, nie widział stąd światła w oknach najbliższych sąsiadów. Z oddali dobiegał szum samochodów jadących w kierunku Käsebergi. Poszedł przez ogród do furtki, która wychodziła na brzeg. Ku swemu niezadowoleniu zauważył, że lampa przy furtce jest popsuta. Morze czekało. Wyjął klucze i otworzył furtkę. Po chwili był na brzegu. Morze było spokojne. Daleko na horyzoncie widział światła statku, który płynął na zachód. Rozpiął rozparek i sikał do wody, rozmyślając o jutrzejszej wizycie.

Nagle, choć nic nie słyszał, zorientował się, że ktoś za nim stoi. Zesztywniał, sparaliżowany strachem. Potem szybko się odwrócił.

Człowiek, którego zobaczył, przypominał zwierzę. Mężczyzna miał na sobie tylko krótkie spodnie. Z histerycznym przerażeniem spojrział mu w twarz. Nie wiedział, czy jest zdeformowana, czy przesłania ją maska. Dostrzegł w jego ręku siekiere. Pomyślał mgliście, że dłoń obejmująca trzonek jest bardzo mała, że mężczyzna przypomina karła.

Krzyknął i ruszył do bramy.

Zmarł w tym samym momencie, w którym ostrze siekiery przecięło mu kręgosłup, tuż pod łopatkami. Już nie widział, jak człowiek, który być może był zwierzęciem, klęka, przecina mu czoło, po czym jednym mocnym szarpnięciem zrywa włosy.

Minęła północ. Był wtorek, 21 czerwca.

W pobliżu odezwał się samotny motorower. Po chwili dźwięk silnika umilkł.

I znów było bardzo cicho.

21 czerwca, o dwunastej w południe, Kurt Wallander wyszedł z budynku komendy policji w Ystadzie. Żeby nikt nie zauważył jego zniknięcia, wymknął się przez garaż. A potem wsiadł do samochodu i pojechał do portu. Ponieważ było ciepło, zostawił marynarkę na krześle w swoim pokoju. Ci, którzy w ciągu najbliższych godzin będą go szukać, pomyślą, że jest w budynku. Zaparkował przed teatrem, udał się na najdalsze molo i usiadł na ławce pod czerwonym barakiem morskiej służby ratowniczej. Wziął ze sobą kołonoatnik i kiedy zamierzał zabrać się do pisania, zorientował się, że nie ma pióra. W pierwszym odruchu irytacji chciał wrzucić notatnik do basenu portowego i dać sobie z tym spokój. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Koledzy nigdy by mu tego nie wybaczyli.

Nie przejmując się jego protestami, wybrali go, żeby w ich imieniu wygłosił mowę pożegnalną na cześć ich komendanta Björka, który tego dnia, o trzeciej, kończył u nich pracę.

Wallander nigdy dotąd nie wygłaszał żadnych mów. Jedyne publiczne występy, w jakich musiał uczestniczyć, to niezliczone konferencje prasowe, organizowane na użytek prowadzonych śledstw. Ale jak się dziękuje odchodzącemu komendantowi? I za co się właściwie dziękuje? Czy w ogóle mieli za co być mu wdzięczni? Najchętniej powiedziałby kilka słów o tym, jak bardzo go niepokoją poważne i najwyraźniej nieprzemysłane reorganizacje i redukcje w policji.

Wyszedł z komendy, żeby się w spokoju zastanowić, co powie. Poprzedniego wieczoru siedział do późnej nocy przy kuchennym stole i nic nie wymyślił. Ale teraz musi. Za niespełna trzy godziny wręczą Björkowi prezent. Następnego dnia Björk zacznie pracę w Malmö jako szef wojewódzkiego wydziału do spraw cudzoziemców.

Wstał z ławki i poszedł do portowej kawiarni. Na cumach kołysały się rybackie kutry. Przypomniał sobie, że siedem lat temu był świadkiem wyławiania zwłok z basenu portowego. Otrząsnął się z tych wspomnień. Mowa, jaką miał wygłosić na cześć Björka, była teraz ważniejsza. Kelnerka pożyczyła mu długopis. Usiadł przy stoliku, zamówił kawę i zmusił się do skreślenia kilku słów. Do pierwszej udało mu się sklecić pół strony. Ponuro patrzył na rezultat. Wiedział jednak, że nic lepszego nie wymyśli. Przywołał kelnerkę, dołała mu kawy.

- Lato każe na siebie czekać - powiedział Wallander.

- Może wcale nie przyjdzie - odparła.

Mimo swojego beznadziejnego przemówienia Wallander był w dobrym humorze. Za kilka tygodni pojedzie na urlop. Miał sporo powodów do radości. Zima była długa i męcząca. Wypoczynek bardzo mu się przyda.

O trzeciej zebrali się w stołówce i Wallander wygłosił mowę na cześć. Potem Svedberg wręczył byłemu szefowi spinning, a Ann-Britt Höglund - kwiaty. Wallanderowi udało się nieco urozmaicić drętwe przemówienie, gdy w nagłym olśnieniu postanowił przytoczyć kilka zdarzeń, jakie się przytrafiły jemu i Björkowi. Ogólne rozbawienie wzbudziła opowieść o ich kąpeli w szambie, kiedy zawałiło się rusztowanie. Potem pili kawę i jedli tort. Björk w swojej mowie pożegnalnej życzył powodzenia następcy. A raczej następczyni. Była nią Lisa Holgersson, pracująca dotychczas w jednym z większych okręgów policji w Smalandii. Miała objąć stanowisko jesienią. Na razie obowiązki komendanta powierzono Hanssonowi.

Po uroczystości Wallander wrócił do siebie. Do uchylonych drzwi zapukał Martinsson.

- Ładne przemówienie - powiedział. - Nie wiedziałem, że to potrafisz.

- Bo nie potrafię - odparł Wallander. - Przemówienie było kiepskie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Martinsson ostrożnie usiadł na popsutym krześle przeznaczonym dla gości.

- Ciekawe, jak to będzie z szefem kobietą - zaczął.

- A dlaczego miałyby być źle? - zdziwił się Wallander.  
- Martw się lepiej o redukcje.

- Właśnie dlatego przyszedłem. Chodzą słuchy, że w Ystadzie mają zmniejszyć liczbę personelu w czasie weekendów, z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek.

Wallander przyglądał się Martinssonowi z niedowierzaniem.

- Świetnie - powiedział. - A kto będzie pilnował aresztantów?

- Wieść niesie, że zajmie się tym prywatna firma ochroniarska.

Wallander patrzył na Martinssona zdziwiony.

- Firma ochroniarska?

- Tak słyszałem.

Wallander pokręcił głową. Martinsson wstał.

- Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć - powiedział.  
- Rozumiesz, co tu jest na rzeczy i co się stanie z policją?

- Nie. Potraktuj to jako szczerą i wyczerpującą odpowiedź.

Martinsson nie wychodził.

- Coś jeszcze?

Martinsson wyjął kartkę z kieszeni.

- Jak wiesz, zaczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Dwa do dwóch z Kamerunem. Obstawieś pięć do zera dla Kamerunu. Jesteś na ostatnim miejscu.

- Jak można być na ostatnim miejscu? Albo się typuje dobrze, albo źle.

- Prowadzimy statystykę, kto jak łąduje.

- Boże! A po co?

- Tylko jeden z drogówki obstawił dwa do dwóch - oznajmił Martinsson, ignorując pytanie Wallandera. - Teraz typujemy następny mecz, Szwecja - Rosja.

Wallander nie interesował się piłką nożną. Kilka razy obejrzał mecze piłki ręcznej, w których grała w swoim czasie jedna z najlepszych w Szwecji drużyn z Ystadu. Ostatnio nie mógł jednak nie dostrzec, że uwagę całego kraju zaprzęta tylko jedno: mistrzostwa świata w piłce nożnej. Ile razy włączał telewizor albo otwierał gazetę, zawsze trafiał na niekończące się spekulacje, jak też się powiedzie szwedzkiej drużynie. Miał jednak świadomość, że nie może się wymigiwać od ich wewnętrznego, policyjnego typowania. Mogłoby to zostać odebrane jako arogancja. Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Ile?

- Tyle samo, co przedtem. Sto koron.

Dał pieniądze Martinssonowi, który to odnotował na swojej liście.

- A więc mam wytypować wynik?

- Szwecja z Rosją.

- Cztery do czterech - powiedział Wallander.

- Bardzo rzadko pada aż tyle bramek w piłce nożnej - ze zdumieniem zauważył Martinsson. - Co innego w meczu hokejowym.

- No to trzy jeden dla Rosji. Może być?

Martinsson zapisał.

- Może za jednym zamachem obstawimy mecz z Brazylią - zaproponował Martinsson.

- Trzy zero dla Brazylii - bez wahania powiedział Wallander.

- Nie masz zbyt wielkich oczekiwań wobec Szwecji.

- Nie w piłce nożnej - odparł Wallander i dorzucił jeszcze setkę.

Kiedy Martinsson wyszedł, Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Potem z irytacją odrzucił te myśli. Czas pokaże, co jest prawdą, a co nie. Było wpół do piątej. Wziął teczkę z materiałem dochodzeniowym w sprawie zorganizowanego wywozu kradzionych samochodów do byłych państw bloku wschodniego. Zajmował się tym od wielu miesięcy. Na razie rozpracowali tylko fragment tej rozległej działalności przestępczej. Zdawał sobie sprawę, że będzie nad tym ślęczał miesiącami. W czasie jego urlopu dochodzenie przejmie Svedberg, Wallander miał jednak nieodparte przeczucie, że bardzo mało się wtedy wydarzy.

Do drzwi zapukała Ann-Britt Höglund. I weszła. Miała na głowie czarną czapkę baseballową.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Jak turystka.

- Takie będą nasze nowe czapki do munduru. Wyobraź sobie jeszcze napis „Policja” nad daszkiem. Widziałam zdjęcia.

- Coś takiego nigdy nie wyląduje na mojej głowie. Powinienem się chyba cieszyć, że już nie jestem w drogówce.

- Może któregoś dnia dojdziemy do wniosku, że Björk był fantastycznym szefem - zauważyła Ann-Britt Höglund.  
- Fajnie mówiłeś.

- Wiem, że nie - odparł, poirytowany. - Ale odpowiedzialność spada na was. Nie powinniście mnie byli wybierać.

Ann-Britt Höglund spojrzała w okno. Wallander pomyślał, że bardzo szybko potwierdziła się opinia o Ann-Britt, kiedy rok temu zjawiała się w Ystadzie. Już w szkole policyjnej miała

wyraźne predyspozycje do pracy w tym zawodzie. Na swój sposób wypełniła pustkę, jaką od kilku lat Wallander odczuwał po śmierci Rydberga. W dużym stopniu to właśnie Rydberg wszystkiego go nauczył. Czasami myślał, że teraz na nim spoczywa obowiązek przekazania swojej wiedzy Ann-Britt Höglund.

- Co z samochodami? - spytała.

- Kradną - odparł Wallander. - Wygląda to na dużą siatkę.

- Uda nam się zrobić wyłom?

- Prędzej czy później ich załatwimy. Przez kilka miesięcy nic się nie będzie działo, a potem znowu zaczną.

- To się nigdy nie skończy?

- Nie. Ystad jest tu, gdzie jest. Dwieście kilometrów dalej, po drugiej stronie Bałtyku, jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby żyć tak jak my. Problem polega na tym, że nie mają czym płacić.

- Ciekawe, ile kradzionych rzeczy wywozi się stąd na każdym promie - powiedziała w zamyśleniu.

- Lepiej tego nie wiedzieć.

Poszli po kawę. Ann-Britt Höglund jeszcze w tym tygodniu wybierała się na urlop. Wallander domyślał się, że spędzi go w Ystadzie, bo mąż, monter, którego miejscem pracy był cały świat, właśnie bawił w Arabii Saudyjskiej.

- A ty co będziesz robił? - zapytała, kiedy zaczęli rozmawiać o urlopie.

- Jadę do Skagenu - powiedział Wallander.

- Razem z ryżanką? - zainteresowała się Ann-Britt Höglund i uśmiechnęła.

Wallander, zdumiony, zmarszczył czoło.

- Skąd o niej wiesz?

- Wszyscy wiedzą. Nie wiedziałeś? Można by powiedzieć, że to rezultat naszego nieustającego wewnętrznego śledztwa.

Wallander był autentycznie zaskoczony. Nikomu nic nie mówił o Bajbie, którą poznał kilka lat wcześniej w związku z pewnym dochodzeniem. Była wdową po zamordowanym łotewskim policjancie. Pół roku temu przyjechała do Ystadu w okresie świąt Bożego Narodzenia. Wielkanoc Wallander spędził u niej, w Rydze. Nigdy jednak o niej nie mówił. Nie przedstawił żadnemu z kolegów. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego tego nie zrobił. Ich związek ciągle był kruchy, Bajba wyciągnęła go z melancholii, w jaką popadł po rozwodzie z Moną.

- Tak - przyznał. - Razem jedziemy do Danii. A resztę lata poświęcę ojcu.

- A Linda?

- Zadzwoiła tydzień temu i powiedziała, że będzie chodzić na kurs teatralny w Visby.

- Wydawało mi się, że chciała zostać tapicerem?

- Też mi się tak wydawało. Teraz wymyśliła, że zrobi z przyjaciółką coś w rodzaju przedstawienia teatralnego.

- To chyba interesujące?

Wallander z wahaniem pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że przyjedzie tutaj w lipcu. Dawno jej nie widziałem.

Rozstali się przed drzwiami Wallandera.

- Odwiedź mnie latem - powiedziała. - Z ryżanką albo bez. Z córką albo bez.

- Ma na imię Bajba.

Obiecał, że ją odwiedzą.

Po rozmowie z Ann-Britt Höglund przeszło godzinę siedział nad papierami. Dwa razy bezskutecznie dzwonił do Göteborga, próbując się skontaktować z komisarzem, który na swoim podwórku rozpracowywał tę samą sprawę. Za kwadrans szósta zamknął teczkę i wstał. Tego wieczoru postanowił

zjeść poza domem. Obmacał brzuch i skonstatował, że wciąż chudnie. Bajba uznała, że jest za gruby, i od tej pory nie miał już kłopotów z jedzeniem mniejszych porcji. Kilka razy wbił się w dres i biegał, chociaż uważał, że to nudne.

Włożył kurtkę. Tego wieczoru postanowił napisać list do Bajby. Kiedy miał wyjść, zadzwonił telefon. Wahał się przez chwilę, czy odebrać. Podeszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Miałeś dobre przemówienie - odezwał się Martinsson.  
- Björk był autentycznie wzruszony.

- Już to mówiłeś - zauważył Wallander. - Czego chcesz? Idę do domu.

- Przed chwilą odebrałem dosyć dziwny telefon. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

Wallander niecierpliwie czekał na ciąg dalszy.

- Zadzwonił rolnik spod Marsvinsholmu. Twierdzi, że w jego rzepaku jest kobieta, która się podejrzanie zachowuje.

- To wszystko?

- Tak.

- Kobieta, która się podejrzanie zachowuje w rzepaku? A co takiego robi?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, nic nie robi. Dziwne, że w ogóle jest w rzepaku.

Wallander odpowiedział bez zastanowienia.

- Poślij tam patrol z drogówki. To ich działka.

- Problem polega na tym, że wszyscy są zajęci. Prawie w tym samym czasie doszło do dwóch wypadków samochodowych. Jeden przy wjeździe na Svarte, drugi przed „Continentalem”.

- Coś poważnego?

- Żadnych większych obrażeń. Tylko zrobiło się niezłe zamieszanie.

- Ale chyba mogą pojechać do Marsvinsholmu, kiedy będą mieli czas?

- Ten rolnik był wyraźnie zaniepokojony. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, w każdym razie gdybym nie musiał odebrać dzieci, sam bym tam pojechał.

- Dobrze, pojedę - powiedział Wallander. - Spotkajmy się na korytarzu, dasz mi nazwisko i dokładny adres.

Kilka minut później Wallander opuścił komendę. Skręcił w lewo i z ronda pojechał na Malmö. Obok, na siedzeniu, położył mapkę, którą dostał od Martinssona. Rolnik nazywał się Salomonsson. Wallander znał drogę. Na E65 opuścił szybę. Po obu stronach szosy kołysały się żółte pola rzepaku. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze jak teraz. Puścił kasetę z *Weselem Figara* - Barbara Hendricks śpiewała partię Zuzanny - i myślał o Bajbie, z którą się niebawem spotka w Kopenhadze. Dojechał do bocznej drogi na Marsvinsholm, skręcił w lewo, minął zamek i kościół, potem znów skręcił w lewo. Zerknął na mapkę Martinssona i pojechał wąską drogą wśród pól. W oddali majaczyło morze.

Wysiadł przed starym, zadbanym, typowo skańskim domem Salomonssona i rozejrzał się. Wszędzie żółte pola rzepaku. Otworzyły się drzwi i na schodkach stanął bardzo stary mężczyzna. W ręku miał lornetkę. Wallander pomyślał, że pewnie wszystko sobie ubrdał. Samotni, mieszkający na wsi starcy często dzielili się z policją swoimi przywidzeniami. Podszedł do schodków i skinął głową.

- Kurt Wallander z ystadzkiej policji.

Staruszek był nieogolony, na nogach miał zniszczone drewniaki.

- Edvin Salomonsson - przedstawił się i wyciągnął kościstą dłoń.

- Proszę opowiedzieć, co się stało.

Mężczyzna wskazał na pole rzepaku po prawej stronie domu.

- Zobaczyłem ją dzisiaj rano. Budzę się wcześniej. Była tam już o piątej. Najpierw myślałem, że to sarna. Potem zobaczyłem przez lornetkę, że to kobieta.

- Co robiła?

- Stała tam.

- I nic poza tym?

- Stała i gapiała się.

- Na co się gapiała?

- A skąd mam wiedzieć?

Wallander westchnął. Prawdopodobnie staruszek widział sarnę. A potem wyobraźnia wzięła górę.

- Nie zna jej pan?

- Nigdy przedtem jej nie widziałem. Gdybym ją znał, to chyba nie dzwonił na policję, prawda?

Wallander skinął głową.

- No więc zobaczył ją pan po raz pierwszy dzisiaj rano. A na policję zadzwonił pan dopiero późnym popołudniem.

- Po co sprawiać komuś kłopot bez potrzeby - odpowiedział zwyczajnie. - Policja pewnie ma mnóstwo pracy.

- Zobaczył ją pan przez lornetkę - podjął Wallander. - Była na polu rzepaku i pan jej nigdy wcześniej nie widział. I co było dalej?

- Ubrałem się i poszedłem jej powiedzieć, żeby się stąd wyniosła. Przecież zdeptuje rzepak.

- I co się stało?

- Pobiegła.

- Pobiegła?

- Schowała się w rzepaku. Kucnęła i straciłem ją z oczu. Najpierw myślałem, że sobie poszła, ale potem znowu ją zobaczyłem przez lornetkę. I tak w kółko. W końcu miałem tego dosyć i zadzwoniłem do was.

- Kiedy pan ją widział ostatni raz?

- Tuż przed telefonem do was.

- Co wtedy robiła?

- Stała i gapiła się.

Wallander spojrział na pole. Widział tylko kołyszący się rzepak.

- Policjant, z którym pan rozmawiał, powiedział, że sprawa pan wrazenie zaniepokojonego - powiedział Wallander.

- Co może robić człowiek w rzepaku? Musi być coś nie w porządku.

Wallander postanowił zakończyć tę rozmowę. Nie miał już wątpliwości, że staruszek wszystko sobie wymyślił. Następnego dnia zawiadomi opiekę społeczną.

- Niewiele mogę zrobić - powiedział. - Na pewno już sobie poszła. Tak czy inaczej, nie ma się czym przejmować.

- Wcale sobie nie poszła - zaprotestował Salomonsson.  
- Znowu ją widzę.

Wallander szybko się odwrócił i spojrział tam, gdzie wskazywał palec Salomonssona.

Na polu, około pięćdziesięciu metrów od nich, stała kobieta. Wallander zwrócił uwagę na jej bardzo ciemne włosy. Odcinały się ostro na tle żółtego rzepaku.

- Porozmawiam z nią - powiedział. - Proszę tu poczekać.

Wyjął z bagażnika buty z cholewami. Włożył je i poszedł, czując w całej tej sytuacji coś nierzeczywistego. Kobieta stała nieruchomo i patrzyła na niego. Teraz widział, że ma nie tylko czarne włosy, ale i ciemną skórę. Zatrzymał się na skraju pola i podniósł rękę, żeby ją przywołać. Ani drgnęła. Choć była od niego daleko i falujący rzepak przesłaniał jej twarz, domyślał się, że jest piękna. Zawołał, żeby podeszła. Nie poruszyła się, a kiedy zrobił pierwszy krok w jej kierunku, natychmiast zniknęła. Tak szybko, że nasunęło mu to skojarzenia z płochliwym zwierzęciem. Był zirytowany. Szedł wśród rzepaku i wypatry-

wał. Zauważył ją i żeby znowu nie stracić jej z oczu, zaczął biec. Poruszała się bardzo szybko. Kiedy zadyszany, zbliżył się do niej na odległość około dwudziestu metrów, byli pośrodku pola.

- Stać! - krzyknął. - Policja!

Zaczął iść w jej stronę. Nagle stanął. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Chwyciła plastikowy kanister i zaczęła się oblewać jakimś bezbarwnym płynem. Przeleciało mu przez głowę, że pewnie cały czas miała kanister przy sobie. Teraz zrozumiał, jak bardzo się bała. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Policja! - zawołał. - Chcę tylko z tobą porozmawiać.

W tym momencie poczuł zapach benzyny. W jej rękę zapłonęła zapalniczka. Przytknęła ją do włosów. Gdy zajaśniała jak pochodnia, Wallander krzyknął. Patrzył, jak, zataczając się, chodzi po polu w syczących płomieniach. On krzyczał, płonąca kobieta milczała. Później nie mógł sobie przypomnieć, by w ogóle słyszał jej krzyk.

Już miał do niej podbiec, kiedy całe pole rzepaku stanęło w płomieniach. Osłoniwszy rękoma twarz, zaczął uciekać. Na oślep, w dymie i ogniu. Na skraju pola potknął się i wpadł do rowu. Kiedy się odwrócił, zobaczył ją po raz ostatni, zanim upadła i zniknęła mu z oczu. Uniosła ramiona, jakby błagała o łaskę na widok wycelowanej w siebie broni.

Rzepak płonął.

Gdzieś z tyłu słyszał krzyk Salomonssona. Podniósł się na drżących nogach. A potem się odwrócił i wymiotował.

### 3

Wallander będzie pamiętał płonąca dziewczynę, jak się pamięta stary koszmar, o którym najchętniej chciałoby się zapomnieć. Mimo że wieczorem i do późna w nocy przynajmniej pozornie zachowywał spokój, nie udało mu się potem odtworzyć nic prócz mało znaczących drobiazgów. Martinssona, Hanssona, a przede wszystkim Ann-Britt Höglund zdumiewało jego opanowanie. Nie mogli usunąć tarczy, którą się zasłonił. Były w nim zgliszcza, jak w ruinie zawalonego budynku.

Wrócił do domu po drugiej w nocy. I dopiero wtedy, kiedy w okopconym ubraniu i upaprzanych gliną butach usiadł na kanapie, tarcza pękła. Nalał sobie whisky. Drzwi balkonowe były otwarte, pokój otulała letnia noc. Wtedy się rozplakał. Jak dziecko.

Dziewczyna, która spłonęła, też była dzieckiem. Przypominała mu jego córkę, Lindę. Pracując w policji, wykształcił w sobie zdolność godzenia się z tym, co zobaczy na miejscu zbrodni. Widział wisielców, samobójców, którzy strzałem w usta rozrywali się na strzępy. Na swój sposób nauczył się to znosić, a potem wyrzucać z pamięci. Co innego, jeśli chodziło o dzieci i ludzi młodych. Wówczas był równie bezbronny jak w pierwszych latach pracy w policji. Wiedział, że większość kolegów reaguje podobnie. Nagła bezsensowna śmierć dziecka niszczyła rutynę. I tak już będzie zawsze, dopóki pozostanie w policji.

Kiedy pękła tarcza, miał za sobą wstępną fazę dochodzenia. Wykonał wszystko bez zarzutu. Z resztkami wymiocin na ustach pobiegł do Salomonssona, który z niedowierzaniem patrzył na płonące pole rzepaku, i spytał, gdzie jest telefon. Ponieważ Salomonsson wydawał się nie rozumieć pytania, a może w ogóle go nie usłyszał, odsunął go na bok i wszedł do domu.

Poczuł cierpkawy zapach, zapach starego niemyjącego się człowieka. Telefon był w przedpokoju. Wykręcił 90 000. Telefonistka, która przyjęła rozmowę, mówiła później, że był całkowicie spokojny, gdy opisywał, co zaszło, i zarządził przystąpienie do akcji. Za oknem palił się rzepak, płomienie rozjaśniały letni wieczór niczym ostre światła reflektorów.

Zadzwoił do Martinssona. Najpierw rozmawiał z najstarszą córką, potem z żoną, zanim Martinsson przyszedł z ogrodu, gdzie strzygł trawę. W kilku słowach opowiedział, co się stało, i poprosił, żeby Martinsson powiadomił o wszystkim Hanssona i Ann-Britt Höglund. Potem w kuchni dokładnie umył twarz. Kiedy wyszedł na podwórze, Salomonsson stał w tym samym miejscu, nieruchomo, pochłonięty tym niesamowitym widokiem. Przyjechali najbliżsi sąsiedzi. Wallander kazał im trzymać się z daleka i nie pozwolił się zbliżyć do Salomonssona. Usłyszał syreny wozów strażackich, które niemal zawsze zjawiały się pierwsze. Tuż za nimi przyjechały dwa radiowozy i karetka. Szefem ekipy strażackiej był Peter Edler, do którego Wallander miał pełne zaufanie.

- Co się dzieje? - spytał Edler.

- Później wszystko wyjaśnię - odparł Wallander. - Tylko nie zdeptujcie pola. Leży tam martwa kobieta.

- Dom nie jest zagrożony. To, co możemy zrobić, to odgrodzić teren.

Edler ruszył spytać Salomonssona o szerokość polnych dróg i rowów. W tym czasie do Wallandera podszedł kierowca karetki. Spotkał go wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

- Czy są ranni? - zapytał.

Wallander pokręcił głową.

- Jedna osoba nie żyje. Jest w rzepaku.

- Wobec tego potrzebny nam karawan. Co się stało?

Wallander zignorował pytanie i zwrócił się do Noréna, tego policjanta, którego znał najlepiej.

- Na polu leży martwa kobieta. Dopóki nie ugasimy pożaru, możemy tylko odgrodzić teren.

Norén skinął głową.

- Czy to wypadek?

- Raczej samobójstwo - odparł Wallander.

Kilka minut później, mniej więcej w tym czasie, kiedy zjawił się Martinsson, Wallander dostał od Noréna kubek kawy. Wpatrywał się w swoją dłoń i zastanawiał, dlaczego nie drży. Po chwili przyjechał Hansson z Ann-Britt Höglund. Zrelacjonował im, co się stało. Raz po raz używał tego samego sformułowania: Paliła się jak pochodnia.

- To straszne - zauważyła Ann-Britt Höglund.

- Więcej niż straszne - powiedział Wallander. - Nic nie mogłem zrobić. Obyście nigdy nie musieli przeżywać czegoś podobnego.

W milczeniu przyglądali się strażakom. Zebrała się spora grupa ciekawskich, których policjanci trzymali w odpowiedniej odległości.

- Jak ona wyglądała? - spytał Martinsson. - Widziałeś ją z bliska?

Wallander skinął głową.

- Ktoś powinien pomówić ze staruszkami - powiedział. - Nazywa się Salomonsson.

Hansson wziął Salomonssona do kuchni. Ann-Britt Höglund rozmawiała z Peterem Edlerem. Ogień zaczął dogasać. Kiedy wróciła, powiedziała, że za chwilę będzie po wszystkim.

- Rzepak pali się szybko - poinformowała. - Poza tym pole jest mokre. Wczoraj padał deszcz.

- Była młoda - mówił Wallander. - Miała czarne włosy i ciemną skórę. Była ubrana w żółtą wiatrówkę. Chyba w dżinsach. Co na nogach, nie wiem. Bała się.

- Czego się bała? - spytał Martinsson.

Wallander odpowiedział po namyśle.

- Mnie się bała. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy krzyknąłem, że jestem z policji. Czego się poza tym bała, oczywiście nie wiem.

- A więc rozumiała, co mówiłeś?

- Na pewno zrozumiała słowo „policja”.

Po ogniu pozostał gęsty dym.

- Czy na polu nikogo innego nie było? - zapytała Ann-Britt Höglund. - Jesteś pewien, że była sama?

- Nie, nie jestem pewien. Ale nikogo prócz niej nie widziałem.

W milczeniu zastanawiali się nad jego słowami.

Kim ona była? - pomyślał Wallander. Skąd się wzięła? Dlaczego się podpaliła? Jeśli chciała umrzeć, to dlaczego wybrała takie cierpienie?

Wrócił Hansson.

- Powinniśmy dostawać mentol, jak w Stanach - stwierdził.

- Do smarowania pod nosem. Cuchnie tam jak jasna cholera. Starzy mężczyźni nie powinni żyć dłużej od swoich żon.

- Poproś kogoś z karetki, żeby go zbadał - powiedział Wallander. - Przeżył szok.

Martinsson poszedł przekazać wiadomość. Peter Edler zdjął kask i stanął obok Wallandera.

- Niedługo będzie po wszystkim - powiedział. - Ale zostawię tu na noc jeden wóz.

- Kiedy możemy wejść na pole?

- Za godzinę. Dym jeszcze będzie się unosił. Ale ziemia już się wychładza.

Wallander odciągnął Edlera na bok.

- Co zobaczą? - zapytał. - Oblała się pięcioma litrami benzyny. Wszystko eksplodowało, więc musiała wcześniej rozlać benzynę na pole.

- To nie będzie ładny widok - bez ogródek zauważył Edler.  
- Niewiele z niej zostało.

Wallander nic już nie powiedział i podszedł do Hanssona.

- W każdym razie wiemy, że to samobójstwo - stwierdził Hansson. - Mamy najlepszego świadka, policjanta.

- Co powiedział Salomonsson?

- Nigdy przedtem jej nie widział, zobaczył ją po raz pierwszy dzisiaj o piątej rano. Nie ma powodów, by go podejrzewać o kłamstwo.

- Inaczej mówiąc, nie wiemy, kim ona jest - powiedział Wallander. - Ani przed czym uciekała.

Hansson spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego miałyby uciekać?

- Bała się. Ukryła się w rzepaku. A kiedy przyszedł policjant, wołała się podpalić.

- Nie wiemy, co myślała - powiedział Hansson. - Mogłeś sobie wmówić, że się bała.

- Nie. Napatrzyłem się w swoim życiu na strach, żeby wiedzieć, jak on wygląda.

Podszedł do nich człowiek z karetki.

- Zabieramy staruszka do szpitala - oświadczył. - Jest w kiepskim stanie.

Wallander skinął głową.

Chwilę później przyjechali technicy. Wallander określił miejsce, w którym powinny być zwłoki.

- Może byś pojechał do domu - zaproponowała Ann-Britt Höglund. - Chyba masz już dzisiaj dosyć.

- Nie. Zostanę.

O wpół do dziewiątej dym się rozwiął i Peter Edler pozwolił im wejść na pole. Mimo jasnego wieczoru Wallander poprosił o reflektory.

- Może jest tam coś więcej - powiedział. - Uważajcie, gdzie stawiacie stopy. Ci, którzy nie mają tam nic do roboty, niech zostaną.

Pomyślał potem, że nie chciał robić tego, co musiał. Najchętniej by odjechał, niech inni się tym zajmą. Sam ruszył na pole. Koledzy patrzyli na niego. Bał się tego, co zobaczy, bał się, że kamień, który czuł w żołądku, eksploduje.

Wszedł prosto na nią. Umarła z uniesionymi ramionami, tak jak ją widział po raz ostatni, zanim ją pochłonęły płomienie. Spalone włosy, twarz i ubranie, zwęglone ciało, w którym ciągle czaił się strach i opuszczenie. Wallander zawrócił. Przez chwilę wydawało mu się, że zemdleje.

Technicy przystąpili do pracy w ostrym świetle reflektorów, wokół których od razu zaczęły krążyć ćmy. Hansson otworzył okno w kuchni, żeby usunąć zatechły zapach starego człowieka. Usiedli przy stole. Przystali na propozycję Ann-Britt Höglund i zaparzyli kawę na pamiętającej dawne czasy kuchni Salomonssona.

- Ma tylko taką do gotowania - oznajmiła po przepatrzeniu szuflad i szafek. - Może być?

- Może - odpowiedział Wallander. - Byleby była mocna.

Koło szafek wisiał staroświecki zegar. Wallander zauważył, że stanął. Przypomniał sobie, że u Bajby, w Rydze, widział podobny zegar, też z parą nieruchomych wskazówek. Coś się zatrzymuje, pomyślał. Jakby wskazówki chciały zapobiec czemuś, co ma się wydarzyć, zatrzymując czas. Mąż Bajby zginął pewnej chłodnej nocy w ryskim porcie. Na polu rzepaku, niczym rozbitek na morzu, pojawia się samotna dziewczyna i odbiera sobie życie w niesamowicie bolesny sposób.

Podpałała się, pomyślał, jakby była swoim własnym wrogiem. To nie policjanta chciała się pozbyć, tylko siebie.

Z zamyślenia wyrwała go cisza przy stole. Patrzyli na niego i czekali, aż przejmie inicjatywę. Za oknem majaczyły sylwetki techników kryminalnych. W świetle reflektorów pełzali wokół martwego ciała. Rozbłysł flesz aparatu, raz, potem jeszcze raz.

- Czy ktoś zadzwonił po karawan? - spytał nagle Hansson.

Pytanie zagrzmiało w uszach Wallandera z taką mocą, jakby jego bębenki poraziło uderzenie młota kowalskiego. Proste i rzeczowe pytanie Hanssona przywróciło go rzeczywistości, czego najbardziej ze wszystkiego chciał uniknąć.

Obrazy przesuwają się i migotały, poruszały najczulsze zakamarki mózgu. Jadąc samochodem, myślał, że wokół niego trwa piękne szwedzkie lato. Silnie i czysto śpiewała Barbara Hendricks. A potem na polu rzepaku zobaczył dziewczynę, spłoszoną jak zwierzę. I nie wiadomo skąd przychodzi katastrofa. Staje się coś niewyobrażalnego.

Karawan jest w drodze, żeby zabrać lato.

- Prytz wie, co ma robić - powiedział Martinsson.

Wallander przypomniał sobie, że tak się właśnie nazywa kierowca karetki. Uznał, że musi coś powiedzieć.

- Co wiemy - zaczął po omacku, jakby każde słowo stawiało opór. - Starszy samotny rolnik, ranny ptaszek, widzi w swoim rzepaku obcą kobietę. Woła do niej, próbuje ją przegonić, bo nie chce, żeby mu zadeptywała pole. Ona się chowa i co jakiś czas znowu pojawia. Staruszek dzwoni do nas późnym popołudniem. Przyjeżdżam, ludzie z drogówki są przy wypadkach samochodowych, i szczerze mówiąc, nie traktują tego poważnie. Chcę odjechać i powiadomić opiekę społeczną, bo Salomonsson sprawia wrażenie zaburzonego. I wtedy nagle

z rzepaku wyłania się kobieta. Próbuje nawiązać z nią kontakt. Ona się wycofuje, potem bierze plastikowy kanister, oblewa się benzyną i podpala zapalniczką. Resztę znacie. Była sama, miała kanister z benzyną, odebrała sobie życie.

Zamilkł, jakby nie wiedział, co ma mówić.

- Nie wiemy, kim jest - podjął po chwili. - Nie wiemy, dlaczego popełniła samobójstwo. Mogę podać dość dokładny rysopis. I to wszystko.

Ann-Britt Höglund wyjęła z szafki popękane filiżanki. Martinsson wyszedł na podwórze za potrzebą. Kiedy wrócił, Wallander przystąpił do podsumowania.

- Musimy się dowiedzieć, kim była. To, rzecz jasna, podstawa. Na dobrą sprawę tylko tego można od nas oczekiwać. Przejrzemy rejestry osób poszukiwanych. Spiszę jej rysopis. Mam wrażenie, że była ciemna, więc może od razu przyjrzyjmy się uważniej uchodźcom i obozom przejściowym. Potem poczekamy na wyniki badań technicznych.

- W każdym razie wiemy, że nie popełniono przestępstwa - skonstatował Hansson. - Naszym zadaniem będzie ustalenie jej tożsamości.

- Musiała się tutaj skądś wziąć - powiedziała Ann-Britt Höglund. - Przyszła na piechotę? Przyjechała na rowerze? Samochodem? Skąd miała kanistry z benzyną? Jest dużo pytań.

- Dlaczego właśnie tutaj? - dodał Martinsson. - Dlaczego w rzepaku Salomonssona? Jego dom stoi dość daleko od szosy.

Pytania zawisły w próżni. Wszedł Norén z informacją, że pojawiło się paru dziennikarzy i chcieliby wiedzieć, co się stało. Wallander, który odczuł przemożną potrzebę ruchu, wstał z krzesła.

- Porozmawiam z nimi.

- Powiedz, jak jest - powiedział Hansson.

- A co innego miałbym mówić? - zdziwił się Wallander.

Wyszedł na podwórze. Od razu poznał dwoje dziennikarzy. Młoda kobieta pracowała w „Ystads Allehanda”, a starszy mężczyzna w „Arbetet”.

- Wygląda to jak zdjęcia do filmu - odezwała się kobieta, wskazując na reflektory wycelowane w spalone pole.

- Ale tak nie jest - odparł Wallander.

Opowiedział, co się stało. W pożarze zginęła kobieta. Zabójstwo nie wchodzi w grę. Ponieważ nie znają jej personaliów, nie chce im na razie mówić nic więcej.

- Czy można zrobić kilka zdjęć? - zapytał dziennikarz z „Arbetet”.

- Może pan robić tyle zdjęć, ile pan chce - odpowiedział Wallander. - Ale tylko z tego miejsca. Nie wolno wchodzić na pole.

Dziennikarze zadowolili się tym, co usłyszeli, i odjechali. Wallander już miał wrócić do kuchni, kiedy zawołał go jeden z techników. Starał się nie patrzeć na szczątki kobiety. Stanął ze Svenem Nybergiem, ich opryskliwym, ale zdolnym ekspertem technicznym, na skraju snopu światła reflektorów. Nad spalonym polem rzepaku przeciągnął słaby wiatr od morza.

- Chyba coś mamy - powiedział Sven Nyberg.

W rękę trzymał plastikową torebkę. Wallander podszedł z nią bliżej reflektora. W środku był złoty medalik.

- Jest inskrypcja - dodał Sven Nyberg. - „D.M.S”. To wizerunek Matki Boskiej.

- Dlaczego się nie stopił? - spytał Wallander.

- Podczas pożaru na polu nie ma aż tak wysokiej temperatury - wyjaśnił Sven Nyberg.

Wallander słyszał zmęczenie w jego głosie.

- Właśnie tego nam było trzeba - powiedział. - Nie wiemy, kim ona jest, teraz mamy przynajmniej kilka liter.

- Niedługo będzie można ją zabrać - oznajmił Sven Nyberg, patrząc na czekający obok czarny karawan.

- Jak to wygląda? - spytał ostrożnie Wallander.

Nyberg wzruszył ramionami.

- Zęby może coś powiedzą. Mamy zdolnych patologów. Poznasz jej wiek. Dzięki tej nowej technice genowej mogą sprawdzić, czy urodziła się tutaj, w szwedzkiej rodzinie, czy poza Szwecją.

- W kuchni jest kawa.

- Nie, nie. Chcę jak najszybciej skończyć. Jutro z samego rana przeczczemy całe pole. Nie popełniono zbrodni, więc możemy z tym poczekać.

Wallander wrócił do kuchni. Położył torebkę z medalikiem na stole.

- Mamy jakiś ślad - oznajmił. - Medalik z wizerunkiem Matki Boskiej. I inskrypcja „D.M.S”. Proponuję, żebyście pojechali do domu. Ja tu jeszcze chwilę zostanę.

- Spotykamy się jutro, o dziewiątej rano - powiedział Hansson i wstał.

- Ciekawe, kim ona była - zastanawiał się Martinsson. - Nikt nie popełnił przestępstwa, ale to przecież morderstwo. Zamordowała samą siebie.

Wallander skinął głową.

- Zamordować siebie, a popełnić samobójstwo to nie zawsze to samo - powiedział. - To masz na myśli?

- Tak - przyznał Martinsson. - Nic to oczywiście nie znaczy, co ja mam na myśli. Szwedzkie lato jest zbyt piękne i zbyt krótkie, żeby coś takiego musiało się zdarzyć.

Pożegnali się na podwórku. Ann-Britt Höglund zwlekała.

- Dobrze, że nie musiałam na to patrzeć - powiedziała. - Chyba wiem, jak się czujesz.

Wallander nie odpowiedział.

- Do zobaczenia jutro - rzucił po chwili.

Kiedy koledzy odjechali, usiadł na schodkach. Reflektory oświetlały pole niczym posępną scenę, gdzie rozgrywała się sztuka, której był jedynym widzem.

Zerwał się wiatr. Ciągłe czekali na prawdziwe lato. Było chłodno. Wallander przemarzł. Tęsknił za ciepłem. Miał nadzieję, że wkrótce przyjdzie.

Po chwili podniósł się, wszedł do domu i umył filiżanki po kawie.

#### 4

Wallander drgnął we śnie. Ktoś wrywał mu nogę. Kiedy się obudził, okazało się, że wetknął stopę między materac a popsu- te dno łóżka. Żeby ją uwolnić, musiał się odwrócić na bok. Leżał bez ruchu. Przez niedbale opuszczoną roletę wpadało światło. Spojrzał na zegarek stojący na stoliku koło łóżka. Wpół do piątej. Spał zaledwie parę godzin i był bardzo zmęczony. Znów stał na polu rzepaku. Wydawało mu się, że teraz widzi dziewczynę dużo wyraźniej. To nie mnie się bała, pomyślał. Nie chowała się ani przede mną, ani przed Salomonssonem. Tylko przed kimś innym.

Poczłapał do kuchni. Czekając, aż zaparzy się kawa, wszedł do nieposprzątanego salonu i spojrzał na automatyczną sekretarkę. Czerwona lampka migotała. Nacisnął guzik odsłuchiwania. Najpierw odezwała się jego siostra, Kristina: „Zadzwoń do mnie. Najlepiej w ciągu dwóch dni”. Wallander pomyślał, że ma to pewnie związek z ich ojcem. Mimo że się ożenił ze swoją opiekunką i nie mieszkał już sam, ciągle był chimeryczny i nieobliczalny. Potem odsłuchał świszczącą i niewyraźną wiadomość ze „Skånska Dagbladet”. Chcieli się dowiedzieć,

czy jest zainteresowany prenumeratą ich dziennika. Już miał iść do kuchni, kiedy usłyszał jeszcze jedną wiadomość: „Tu Bajba. Jadę na kilka dni do Tallina. Wracam w sobotę”. Ogarnęła go potworna, niekontrolowana zazdrość. Po co jedzie do Tallina? Nic o tym nie wspominała, kiedy ostatnio rozmawiali. Poszedł do kuchni, nalał sobie kawy i zadzwonił do Rygi, chociaż wiedział, że Bajba na pewno śpi. Nikt się jednak nie zgłaszał. Zadzwonił jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Zaniepokoił się. Przecież nie pojechała do Tallina o piątej rano. Dlaczego jej nie ma? A jeśli jest, to dlaczego nie odpowiada? Wyszedł na balkon z widokiem na Mariagatan i usiadł z kawą na jedynym krześle, które się tam mieściło. Znow zobaczył dziewczynę na polu rzepaku. Przez moment przypominała mu Bajbę. Zmusił się do myślenia, że nie ma najmniejszych powodów do zazdrości. Wspólnie ustalili, że nie będą obwarowywać ich kruchego związku niepotrzebnymi obietnicami wierności. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia siedzieli do późnej nocy i rozmawiali o swoich oczekiwaniach wobec siebie. Wallander chciał, żeby się pobrali. Od razu jednak przyznał jej rację, kiedy powiedziała o potrzebie wolności. Żeby nie stracić Bajby, był gotowy zgodzić się na wszystko.

Mimo wczesnej pory było już ciepło. Bezchmurne, błękitne niebo. Niespiesznie popijając kawę, usiłował nie myśleć o dziewczynie, która się spaliła w żółtym rzepaku. Potem długo szukał w szafie w sypialni czystej koszuli. Zanim poszedł do łazienki, poznosił do salonu wszystkie brudne ubrania porzucane po całym mieszkaniu. Niezły stos. Tego samego dnia powinien to wyprać.

Wyszedł z domu za kwadrans szósta. Wsiadając do samochodu, przypomniał sobie, że najpóźniej ostatniego dnia czerwca musi zrobić przegląd. Skręcił w Regementsgatan, potem jechał Österleden. Nie planując tego zawczasu, zatrzymał

się przed Nowym Cmentarzem na Kronoholmsvägen. Wolno chodził między nagrobkami. Niektóre nazwiska mgliście sobie przypominał. Kiedy widział ten sam rok urodzenia, co jego, odwracał głowę. Kilku młodych ludzi w niebieskich kombinizonach zdejmowało kosiarkę z przyczepy motoroweru. Usiadł na ławce opodal łąki pamięci. Nie był tutaj od pewnego wietrznego jesiennego dnia, cztery lata temu, kiedy rozsypywano prochy Rydberga. Przyszedł Björk i kilku dalekich, anonimowych krewnych zmarłego. Często myślał, że powinien tu wrócić. Ale się nie składało.

Byłoby łatwiej, gdyby miał nagrobek, pomyślał. Z wrytym nazwiskiem. Mógłbym się na nim skupić i wspominać. Nie widzę go pośród tylu unoszących się wokół, niewidzialnych dusz.

Nie do końca był w stanie sobie przypomnieć, jak Rydberg wyglądał. Umiera nawet we mnie, pomyślał. Niedługo i pamięć się rozwieje.

Podniósł się nagle z niemiłym uczuciem. Płonąca dziewczyna nie dawała mu spokoju. Pojechał na komendę, wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. O wpół do ósmej, chcąc nie chcąc, sporządził podsumowanie dochodzenia w sprawie kradzionych samochodów, które miał przekazać Svedbergowi. Potem położył dokumenty na podłodze, żeby opróżnić biurko.

Podniósł podkładkę do pisania, chciał sprawdzić, czy nie wsunął tam jakichś ważnych zapisków, o których zapomniał. Znalazł tylko zdrapkę sprzed kilku miesięcy. Kiedy ją stał linijką, okazało się, że wygrał dwadzieścia pięć koron. Na korytarzu usłyszał Martinssona, a po chwili Ann-Britt Höglund. Odchylił się na krześle, położył stopy na biurku i zamknął oczy. Obudził go kurcz w łydce. Spał najwyżej dziesięć minut. W tym momencie zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce

głos Pera Åkesona z prokuratury. Przywitani się, wymienili kilka słów o pogodzie. Ich wieloletnia współpraca stopniowo – o czym nigdy nie rozmawiali, ale obaj wiedzieli – przekształciła się w przyjaźń. Niejednokrotnie mieli odmienne zdanie co do motywów czyjegoś zatrzymania lub ponownego osadzenia w areszcie. Było jednak w ich kontaktach coś jeszcze, wzajemne zaufanie, mimo że prawie nigdy nie spotykali się prywatnie.

- Przeczytałem w dzisiejszej gazecie o dziewczynie, która się podpaliła na polu koło Marsvinsholmu – powiedział Per Åkeson. - Czy to coś dla mnie?

- To samobójstwo – odparł Wallander. - Nie licząc starego Salomonssona, byłem jedynym świadkiem.

- Coś ty tam, na miłość boską, robił?

- Salomonsson do nas zadzwonił. Normalnie powinni pojechać ludzie z drogówki, ale byli zajęci.

- Niepiękny widok.

- Gorzej. Musimy ją zidentyfikować. Podejrzewam, że w centrali już się rozdzwoniły telefony. Dzwonią ci, którzy chcieliby się czegoś dowiedzieć o swoich zaginionych krewnych.

- A więc zabójstwo nie wchodzi w grę?

Nie wiedząc czemu, Wallander zawahał się, nim odpowiedział.

- Nie. Trudno o bardziej dobitne odebranie sobie życia.

- Nie wydajesz się jednak całkowicie przekonany.

- Źle dzisiaj spałem. To straszne przeżycie.

Zapadła cisza. Wallander domyślił się, że Per Åkeson ma coś jeszcze do powiedzenia.

- Jest też drugi powód, dla którego dzwonię – zaczął. - Tylko niech to zostanie między nami.

- Nie mam długiego języka.

- Pamiętasz, jak mniej więcej rok temu mówiłem, że chciałbym robić coś innego? Zanim będzie za późno, zanim będę za stary.

- Pamiętam, że wspominałeś o uchodźcach i ONZ – powiedział po chwili Wallander. – Czy to chodziło o Sudan?

- O Ugandę. I dostałem propozycję, którą postanowiłem przyjąć. Od września przez rok będę na okresowym urlopie.

- Co na to żona?

- Właśnie dlatego dzwonię. Po moralne wsparcie. Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

- Czy chcesz, żeby z tobą pojechała?

- Nie.

- No to podejrzewam, że będzie zaskoczona.

- Masz jakiś dobry pomysł, jak jej o tym powiedzieć?

- Niestety, nie. Ale myślę, że dobrze robisz. Życie to nie tylko wsadzanie ludzi do więzienia.

- Opowiem ci potem, co i jak.

Kiedy mieli zakończyć rozmowę, Wallander coś sobie uświadomił.

- Czy to znaczy, że twoim zastępcą będzie Anette Brolin?

- Przeszła na drugą stronę i pracuje jako adwokat w Sztokholmie – odparł Per Åkeson. – Czy ty się w niej nie podkochiwałeś?

- Nie. Pytam z ciekawości.

Odłożył słuchawkę. Nieoczekiwanie dopadło go uczucie zazdrości. Sam chętnie by pojechał do Ugandy. I robił coś zupełnie innego. Nie ma nic gorszego, niż patrzeć na młodych samobójców płonących jak pochodnie. Zazdrościł Perowi Åkesonowi, który nie poprzestał jedynie na mówieniu o wyjeździe.

Radość, jaką odczuwał dzień wcześniej, odpłynęła. Stał przy oknie. Wokół starej wieży ciśniętą zieleniła się trawa. Pomyślał o tym, co się stało rok wcześniej, kiedy zabił człowieka

i przez dłuższy czas był na zwolnieniu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wyjdzie z depresji, w jaką wtedy wpadł. Powiniennem zrobić tak, jak Per Åkeson, pomyślał. I dla mnie musi być jakaś Uganda. Dla Bajby i dla mnie.

Długo stał przy oknie. Potem usiadł przy biurku i próbował złapać siostrę. Dzwonił dość długo, ale bez przerwy było zajęte. Wyjął notatnik z szuflady biurka. Przez pół godziny pisał sprawozdanie z wydarzeń poprzedniego wieczoru. Potem zadzwonił do patologów z Malmö, ale nie udało mu się skontaktować z lekarzem, który mógłby coś powiedzieć o zwęglonych zwłokach. Za pięć dziesiątą nalał sobie kawy i poszedł do pokoju konferencyjnego. Ann-Britt Höglund rozmawiała przez telefon, Martinsson wertował katalog sprzętu ogrodniczego, a Svedberg siedział na swoim miejscu i drapał się ołówkiem w szyję. Jedno z okien było otwarte. Wallander stanął w drzwiach z uczuciem, że był już w identycznej sytuacji. Jakby się już stało to, co się stało. Martinsson spojrzął na niego znad katalogu i skinął głową, Svedberg chrząknął, Ann-Britt Höglund cierpliwie coś wyjaśniała swojemu dziecku. Wszedł Hansson. W jednej ręce niósł kawę, w drugiej torebkę z medalikiem, który technicy znaleźli na polu.

- Nigdy nie śpisz? - zapytał Hansson.

Wallander się zirytował.

- Dlaczego pytasz?

- Widziałeś się w lustrze?

- Wczoraj zeszło mi do późna. Śpię tyle, ile trzeba.

- To te mecze piłki nożnej - skwitował Hansson. - Nadają je w środku nocy.

- Nie oglądam - powiedział Wallander.

Hansson spojrzął na niego ze zdumieniem.

- Nie interesujesz się? Myślałem, że wszyscy siedzą i patrzą.

- Nieszczerólnie - przyznał Wallander. - Ale rozumiem, że to dość nietypowe. O ile wiem, szef nie rozesłał peemki, że nieoglądanie meczów jest równoznaczne z zaniedbaniem obowiązków służbowych.

- Może przeżywamy coś takiego po raz ostatni - ponuro zauważył Hansson.

- Co takiego przeżywamy?

- Udział Szwecji w mistrzostwach świata. Mam cichą nadzieję, że nie wszystko szlag trafi. Najbardziej mnie martwi obrona.

- Aha - uprzejmie przytaknął Wallander.

Ann-Britt Höglund ciągle rozmawiała przez telefon.

- Ravelli - powiedział Hansson.

Wallander czekał na dalszy ciąg, ale się nie doczekał. Wiedział, że Hansson mówi o szwedzkim bramkarzu.

- Co z nim?

- Martwię się o niego.

- Dlaczego? Jest chory?

- Jest nierówny. Nie był dobry w meczu z Kamerunem. Dziwne wykopy, dziwne reakcje w polu bramkowym.

- To tak jak my - powiedział Wallander. - Policjanci też bywają nierówni.

- Trudno to porównywać. My nie musimy podejmować błyskawicznych ocen, czy wybiec, czy zostać na linii strzału.

- Cholera wie. Może jest jakieś podobieństwo między policjantem, który rusza do akcji, a wybiegającym bramkarzem.

Hansson spojrział na niego. Nie rozumiał, nic jednak nie powiedział.

Milczeli. Usiedli przy stole i czekali, aż Ann-Britt Höglund skończy rozmawiać przez telefon. Svedberg, który z trudem tolerował kobiety w policji, wkurzony bębnił ołówkiem w stół, żeby dać jej do zrozumienia, że czekają. Wallander doszedł do

wniosku, że będzie musiał ukrócić te bezsensowne demonstracje. Ann-Britt Höglund to dobra policjantka, pod wieloma względami znacznie bystrzejsza niż Svedberg.

Nad jego kawą krążyła mucha. Czekali.

Ann-Britt Höglund skończyła i usiadła przy stole.

- Łańcuch w rowerze - wyjaśniła. - Dzieci nie bardzo potrafią zrozumieć, że mama może mieć coś ważniejszego na głowie niż natychmiastową naprawę roweru.

- Zrób to - powiedział Wallander. - Wstępne omówienie możemy zrobić bez ciebie.

Pokręciła głową.

- Nie mogę ich do tego przyzwyczajać.

Hansson położył na stole torebkę z medalikiem.

- Nieznana kobieta odbiera sobie życie - zaczął. - Wiemy, że nie popełniono przestępstwa. Musimy ustalić jej tożsamość.

Wallander miał uczucie, że Hansson przemawia jak Björk. Niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Pochwycił spojrzenie Ann-Britt Höglund. Chyba myślała to samo.

- Rozdzwoniły się telefony - poinformował Martinsson. - Posadziłem jednego człowieka, żeby odbierał wszystkie rozmowy.

- Dam mu rysopis - powiedział Wallander. - Skoncentrujemy się na osobach zaginionych. Może jest wśród nich. Jeśli nie, prędzej czy później ktoś zauważy jej zniknięcie.

- Zajmę się tym - powiedział Martinsson.

- Medalik. - Hansson otworzył torebkę. - Wizerunek Matki Boskiej i litery „D.M.S.” To chyba nie jest złoto.

- Mamy komputerowy rejestr skrótów i kombinacji literowych - powiedział Martinsson, który w ystadzkiej policji wiedział najwięcej o komputerach. - Wrzucimy ten wariant i zobaczymy, czy będzie jakaś odpowiedź.

Wallander wziął medalik do ręki. Były na nim ślady sadzy.

- Bardzo ładny - stwierdził. - Ale większość ludzi w Szwecji, jeśli ma jakieś religijne symbole, to chyba krzyżyki? Matka Boska jest częściej spotykana w krajach katolickich.

- Zupełnie jakbyś mówił o uchodźcy albo imigrancie - powiedział Hansson.

- Mówię tylko o medaliku - odparł Wallander. - To ważny element rysopisu. Człowiek, który odbiera telefony, musi wiedzieć, jak on wygląda.

- Puścimy to do prasy? - zapytał Hansson.

Wallander pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Wolałbym, żeby nikt przypadkowy nie przeżył szoku.

Svedberg zaczął wymachiwać rękami i jak szalony poderwał się z krzesła. Patrzyli na niego w osłupieniu. Po chwili Wallander przypomniał sobie, że Svedberg panicznie się boi os. Dopiero kiedy osa wyfrunęła przez okno, Svedberg usiadł przy stole.

- Na pewno są jakieś lekarstwa na takie uczulenia - powiedział Hansson.

- Nie jestem uczulony - burknął Svedberg. - Ja po prostu nie lubię os.

Ann-Britt Höglund wstała i zamknęła okno. Wallander zastanawiał się nad reakcją Svedberga. Bezrozumny strach dorosłego faceta na widok malutkiej osy.

Pomyślał o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Samotna dziewczyna na polu rzepaku. W zachowaniu Svedberga było coś, co mu przypominało tę sytuację: musiał patrzeć, nie mogąc interweniować. Bezgraniczny strach. Nie podda się, dopóki się nie dowie, co ją skłoniło do samobójstwa. Żyje w świecie, w którym młodzi ludzie odbierają sobie życie, bo nie wytrzymują, pomyślał. Jeśli mam dalej pracować w policji, muszę zrozumieć, dlaczego tak jest.

Drgnął, kiedy Hansson powiedział coś, co do niego nie dotarło.

- Czy mamy coś jeszcze? - powtórzył Hansson.

- Ja zajmę się patologiami z Malmö - powiedział Wallander.

- Czy ktoś się kontaktował ze Svenem Nybergiem? Jeśli nie, pojedę do niego.

Po spotkaniu Wallander poszedł do swojego pokoju po kurtkę. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz do siostry. Albo do Bajby. Ale dał sobie z tym spokój.

Pojechał do Marsvinsholmu. Kilku policjantów zносиło reflektory i zwijało kable. Dom był zaryglowany. Zanotował w pamięci, żeby w ciągu dnia dowiedzieć się o stan zdrowia Salomonssona. Może sobie o czymś przypomniał.

Pogorzelnisko ostro kontrastowało z żółtym rzepakami na sąsiednich polach. Dwaj policjanci przepatrywali jego skraj. Nyberg klęczał na gliniastej ziemi. Skinął głową. Pot spływał mu po twarzy.

- No i jak? - spytał Wallander. - Masz coś?

- Musiała mieć dużo benzyny - odparł Nyberg i wstał z klęczek. - Znaleźliśmy pięć na wpół stopionych kanistrów. Kiedy wybuchł pożar, prawdopodobnie były puste. Jak się połączy te miejsca, w których leżały, wyraźnie widać, że się nimi obwarowała.

Wallander nie od razu zrozumiał.

- Co masz na myśli?

Nyberg zatoczył ręką koło.

- Zbudowała sobie twierdzę. Rozlała benzynę dookoła. To była jej fosa, do twierdzy nie prowadziła żadna droga. Ona sama była pośrodku. Ostatni, pełny kanister zachowała dla siebie. Może była w histerii, w rozpacz. Może była szalona albo poważnie chora. Nie wiem. Ale tak zrobiła. Wiedziała, na co się decyduje.

Wallander w zamyśleniu pokiwał głową.

- Czy możesz coś powiedzieć o tym, skąd się tutaj wzięła?

- Zadzwoiłem po psa policyjnego. Ale raczej nie podejmie tropu. Ziemia jest przesycona zapachem benzyny. Będzie skołowany. Nie znaleźliśmy roweru. Przeszukanie polnych dróg wychodzących na E65 też nic nie dało. Równie dobrze mogła tu wylądować na spadochronie.

Nyberg wyjął z torby rolkę papieru toaletowego i otarł pot z twarzy.

- Co mówią lekarze? - spytał.

- Na razie nic. Przypuszczam, że czeka ich żmudna praca.

Nyberg nagle spowaźniał.

- Dlaczego człowiek robi sobie coś takiego? Czy naprawdę można mieć aż takie powody, żeby nie chcieć żyć i skończyć w potwornych męczarniach?

- Też sobie zadaję to pytanie - przyznał Wallander.

Nyberg pokręcił głową.

- Co się dzieje?

Wallander milczał. Nie miał kompletnie nic do powiedzenia. Poszedł do samochodu i zadzwonił na komendę. Odebrała Ebba. Żeby uniknąć jej matczynych uwag, udawał, że bardzo mu się spieszy.

- Jadę teraz porozmawiać z rolnikiem, któremu spaliło się pole. Będę po południu.

Wrócił do Ystadu. W szpitalnej kafeterii wypił kawę i zjadł kanapkę. Potem zaczął szukać oddziału, na którym położono Salomonssona na obserwację. Zaczepił pielęgniarkę, przedstawił się i wyjaśnił, o co chodzi. Popatrzyła na niego obojętnie.

- Edvin Salomonsson?

- Imienia nie pamiętam - przyznał Wallander. - Czy przywieziono go wczoraj wieczorem w związku z pożarem pod Marsvinsholmem?

Pielęgniarka pokiwała głową.

- Chciałbym z nim porozmawiać. Jeśli nie jest poważnie chory.

- Nie jest chory - odparła pielęgniarka. - Nie żyje.

Wallander patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Nie żyje?

- Zmarł dzisiaj rano. Przypuszczalnie zawał. Zmarł we śnie.

Niech pan porozmawia z lekarzem.

- Nie, to zbyt cenne. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak on się czuje. I już się dowiedziałem.

Wallander wyszedł ze szpitala na silne słońce. Nie miał pojęcia, co robić.

## 5

Wallander pojechał do domu. Jeśli chce jasno i sensownie myśleć, musi się wypać. Ani on, ani nikt inny nie był winien śmierci starego Salomonssona. Osoba, którą można byłoby pociągnąć do odpowiedzialności, która podpaliła pole rzepaku, przyczyniając się do śmiertelnego szoku Salomonssona, nie żyła. Wyciągnął wtyczkę telefonu z gniazdka i położył się na kanapie w salonie z rącznikiem na twarzy. Ale sen nie przychodził. Pół godziny później poddał się. Włączył telefon, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Lindy, do Sztokholmu. Na kartce przy telefonie była długa lista wykreślonych numerów. Linda często się przeprowadzała, numery bez przerwy się zmieniały. Nikt nie podnosił słuchawki. Wykręcił do siostry. Odebrała niemal natychmiast. Rzadko ze sobą rozmawiali, a jeśli już, to prawie zawsze o ojcu. Wallander myślał czasem, że od dnia, w którym ojciec umrze, w ogóle przestaną się kontaktować.